

KAZIMIERZ STOPA

ur. 1923; Rozięcín



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, więzienie na Zamku Lubelskim, wygląd zamku, topografia zamku, budynek administracyjny przy zamku, więźniowie, cela nr 35, relacje ze współwięźniami, relacje w celi, pan Rubens, pan Sarna

6. Moje przeżycia i topografia więzienia na zamku

Co ciekawe, jak się wychodziło, to się wychodziło na mur kamienicy. I żeby iść dalej, to trzeba było omijać ten mur, i tędy było przejście. Kamienica była jednopiętrowa, w niej mieściła się piekarnia, kuchnia, łaźnia, kancelaria więzienna. Mniej więcej ona sięgała tak jak zaczynają się te cegły. Wejścia do poszczególnych skrzydeł też wyglądały inaczej. Tu jak baszta, i tam dalej w kierunku tych krat, które zamykają więzienie, to tam, w tamtym miejscu, były te dwa warsztaty. Przy wysokim murze, który stanowił ogrodzenie zamku, zwieńczone drutem kolczastym i szkłem wtopionym w cement, stały dwa baraki. Między tymi barakami, a ścianą kaplicy, była niewielka przestrzeń - tam dokonywali czasami egzekucji. Na kaplicy zamkowej odbywały się doraźne sądy. Przesłuchiwania były tu na piętrze w tym obiekcie, bo wtedy jeszcze gmach „Pod Zegarem” na Uniwersyteckiej nie działał, więc tu przeprowadzano dochodzenia. Było trzy kondygnacje więziennych cel. A tam, gdzie to pudełko zostało postawione, to tam była właśnie cela numer 35 i tam stan więźniów wahał się zawsze od 72 do 78. Duża cela, ale leżeliśmy w niej pokotem, jak śledzie. To była cela dla więźniów politycznych, a obok była cela, gdzie siedzieli hierarchowie kościoła lubelskiego - biskup i jego prałaci. Dwie cele dalej siedzieli Kapucyni, często ich widzieliśmy z okien, aczkolwiek wyglądać nie można było, bo stojący na wieżyczce SS-man potrafił strzelać do okien, jeżeli ktoś się tam zaważył. Tośmy stawali na stoły w celi i można było zerkać na dół - to się widziało tych zakonników, którzy dreptali jeden za drugim w trepach na boso nogi, spacerując po zamku. Nas wypuszczano na spacer raz na tydzień. Spacer wyglądał w ten sposób, że tu pomiędzy tym budynkiem, a kaplicą i barakami, gdzie były te warsztaty, był niewielki skwerek, chyba ze sześć kasztanów rośło, i był chodnik, to wokół tego skwerku, no i tam można było spacerować. I tu było wejście na korytarze, klatka schodowa na piętro wyżej, a cela

35 była zakończeniem korytarza. Tu były drzwi do tej celi. Drzwi wypadały na wprost korytarza. I co ciekawe było w tej celi - nie wiem jakim cudem i przy pomocy jakich środków więźniowie w kutych drzwiach zrobili dziurkę. Tak, że każdy z więźniów pełnił przy tym wizjerze wartę, dyżur. I alarmował w razie podejrzanych ruchów na korytarzu, tak żeby nas nie można było zaskoczyć. Niemcy tego nie zauważali, a strażnicy chyba widzieli, ale to byli Polacy i raczej Niemców nie instruowali. W celi 25 siedziałem tylko dwie doby, bo po dobie zainstalowali nas tu na zamku. Przyszedł ten pan, który nas rejestrował w budynku administracyjnym i zapytał: „Którzy to są sztubacy z Chełma?” No, ci moi koledzy się poderwali, bo oni byli faktycznie sztubakami - tak nazywano uczniów szkół średnich przed wojną. – „No, to proszę za mną” A ja się nie poderwałem, bo ja nie byłem sztubakiem, nie byłem uczniem, wydało mi się, że to nie jest adresowane do mnie. I oni poszli, a ja zostałem sam. I wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że jestem znów odizolowany od swoich przyjaciół. Przeżyłem straszliwy dramat, bo w Chełmie w więzieniu też siedziałem osobno, nie wiem dlaczego mnie Niemcy odizolowali. Byłem dwukrotnie przesłuchiwany w siedzibie gestapo, i tu przeżyłem szok, bo zostałem znów odizolowany. I na drugi dzień przyszedł ten człowiek drugi raz i mówi: „No i dlaczego nie poszedłeś jak wołałem?” No ja powiedziałem, że ja nie wiedziałem, że to dotyczy mojej osoby. I zabrał mnie z sobą, i wprowadził do celi numer 35. Tam mnie przedstawił starszemu celi, koledzy przybiegli do mnie witając jak zmartwychwstałego, mimo, żeśmy się nie widzieli tylko dobie. Tam znalazłem się wśród elity intelektualnej Lublina i nie tylko. Profesorowie Uniwersytetu Lubelskiego, Wileńskiego, Warszawskiego, Lwowskiego... ludzie pióra, kultury, wysocy urzędnicy administracji, oficerowie, no i dwudziestu ośmiu księży, w tym jeszcze jeden zakonnik i jakiś inny duchowny, chyba to był ksiądz kościoła ewangelickiego, lubelskiego. Komendantem celi, czyli starszym celi, był pan Wojciechowski Stefan, późniejszy, po wojnie, pracownik naukowy UMCS-u. Był rodem z Rzeszowa, ale pracował i uczył w szkołach lubelskich. Na tej celi znalazło się kilkudziesięciu zakładników. Otóż Niemcy, podobnie jak w Krakowie z profesorami, tak się załatwili z nauczycielami szkół średnich lubelskich - pod pretekstem przedyskutowania warunków otwarcia nowego roku szkolnego zwołali wszystkich nauczycieli szkół średnich do gmachu seminarium uniwersyteckiego, zagarnęli i przyprowadzili na zamek. To byli zakładnicy. Siedzieli tam nauczyciele Staszica, Zamoyskiego i innych szkół średnich. Tam poznałem szereg ludzi, między innymi księży lubelskich - księdza kanonika Nowickiego, księdza Mańkę, księdza Stanisława Stachowicza - wikariusza parafii na Kalinowszczyźnie. Poznałem pana Przyździeckiego - wysokiego urzędnika wojewody lubelskiego. Siedzieli starostowie, cały przekrój społeczeństwa polskiego owych lat. Na celi siedziało też dwóch Żydów, jeden nazywał się Sarna, a drugi Rubens. Mówiono o nich, że to byli bankierzy, godnie się prezentujący. Z tymże pan Rubens mówił dość poprawną polszczyzną, natomiast pan Sarna mocno zatracał żargonem i czasami z niego żartowano, ale tak bez złośliwości. A był taki wesołek na celi, pan

Wroński, profesor, chyba polonista ze liceum Staszica, który czasami dworował sobie z pana Sarny. Na celi był zwyczaj, że codziennie po capstrzyku, kiedy ogłaszano ciszę nocną, to ktoś z mieszkańców celi miał prelekcję, wykład, opowiadał o swoich przeżyciach albo o swoich dziełach naukowych, twórczych czy podróżach po Afryce, Azji. Ja tam przeszedłem uniwersytet. Można było słuchać i wiele rzeczy się nauczyć, ale też były momenty żartobliwe chociaż do śmiechu nikomu nie było. Kiedyś po takim wykładzie rozległ się głośny szepot z kąta sali: „Panie Sarna, panie Sarna, wilk na sali!” - „Oj, czego ja mam się bać, jak obok śpi Leśniczy?” Faktycznie, spał obok leśniczego, a więc tak to wyglądało. Czasami przechodziliśmy w ten wisielczy humor, by jakoś rozładować atmosferę więzienia. Kiedyś oburzyłem się na pana, który przede mną stanął w kolejce, i jemu do miski trafiła kość. Faktycznie, że się oburzyłem, bo choć na tej kości niewiele było, no ale zawsze coś tam można uszczknąć. Podpatrzyli to inni, zrobili z tego żart, i ponieważ siedzieli tam prokuratorzy, sędziowie, adwokaci, cała palestra lubelska i nie tylko, więc zaproponowano żeby ja wniósł pozew cywilny za szkody uczynione mi przez tego pana. I odbył się autentyczny sąd, byli rzeczoznawcy, którzy oceniali wartość tej kości i straty jakie ja poniosłem, a adwokaci stanęli w obronie tego oskarżonego. Jednym słowem taka farsa, zabawa na celi w tym bardzo ciężkim i niełatwym życiu. Został skazany na pięć lat siedzenia na kiblu. Taki zapadł wyrok. Odszkodowań żadnych, kara siedzenia na kiblu.

Data i miejsce nagrania	2007-02-26
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Mateusz Czekał
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"